NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 98 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 13 maja 1922. Nr. 19.

Straszna katastrofa kolejowa w Ropczycach



Miejsce katastrofy, według zdjęcia fotograficznego, wykonanego w niespełna godzinę po zderzeniu pociągów.
(Patrz artykuł na str 9).

W 131. rocznicę Konstytucyi.

Narodowe święto, dzień 3. maja, obchodziła cała Polska, jak już w poprzednim numerze pokrótce zaznaczyliśmy, nadzwyczaj podniośle i uroczyście. Jak daleko brzmi polska mowa i biją polskie serca, w rocznicę wiekopomnej Konstytucyi zjednoczył się cały naród, pomny tej wielkiej i świętej maksymy, że „tylko w jedności siła".

Dzień ów uroczysty rozpoczęły w Krakowie hejnały, odegrane z wieży Maryackiej i pobudka orkiestr wojskowych i cywilnych, przeciągających ulicami miasta. O godzinie dziesiątej rano odbyła się na Błoniach msza św. polowa, w której wzięły udział karne zastępy wojsk wszelkiej broni, wyciągnięte w długie szeregi, z jeneralicyą na czele, przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, stowarzyszeń, instytucyi, szkoły i tysiące ludności ze wszystkich sfer. Podczas mszy św. śpiewał chór „Echa" i przygrywała orkiestra wojskowa.

Po nabożeństwie ozdobił inspektor armii jen. Szeptycki przed frontem wojsk jenerała Ledóchowskiego, szefa artyleryi Okręgu Krakowskiego orderem „Virtuti militari" za zasługi, położone w obronie wschodnich granic państwa, poczem odbyła się defilada wojsk, a po niej ruszył pochód kilkudziesięciotysięczny w stronę miasta, odświętnie przybranego, kierując się ku pomnikowi Grunwaldzkiemu, u którego stóp przemówił prezes Polskiej Akademii Umiejętności, prof. dr. K. Morawski i poeta K. H. Rostworowski. Muzyki odegrały hymn i odśpiewano „Boże, coś Polskę".



W 131. rocznicę Konstytucyi: Msza św. polowa na Błoniach krakowskich.

Wieczorem odbyło się uroczyste przedstawienie w Teatrze miejskim, na które złożyło się okolicznościowe przemówienie prof. Skoczylasa i „Horsztyński". Dla żołnierzy krakowskiej załogi urządzono obchód popołudniu w sali kino-teatru Y. M. C. A.

Niemniej uroczyście wypadł obchód rocznicy Konstytucyi we Lwowie.

Kopiec Unii Lubelskiej zaroił się gęsto wczesnymi turystami. Wieża ratuszowa miała również, jak tradycya każe, ogromną frekwencyę zwiedzających, a ulice miasta zapełniać się jęły stopniowo.

Wkrótce miało się wrażenie, że wszystko, co żyje w mieście, znalazło się na ulicy. Nadciągają oddziały wojskowe. Więc artylerya konna, ciężka, polowa i zajmują swe zwykłe stanowiska w ul. Hetmańskiej i ul. Legionów. Za nią ciągną karne, jednolicie okryte pułki piechoty, karabiny maszynowe, ułani Jazłowieccy, oddziały policyi pieszej i konnej, korpus szkoły kadetów, banderya włościańska ze Sokolnik na koniach w przepysznych malowniczych siermięgach, następnie skauci, skautki, gniazda sokole i cechy rękodzielnicze, stowarzyszenia, młodzież szkół powszechnych, średnich i wyższych.

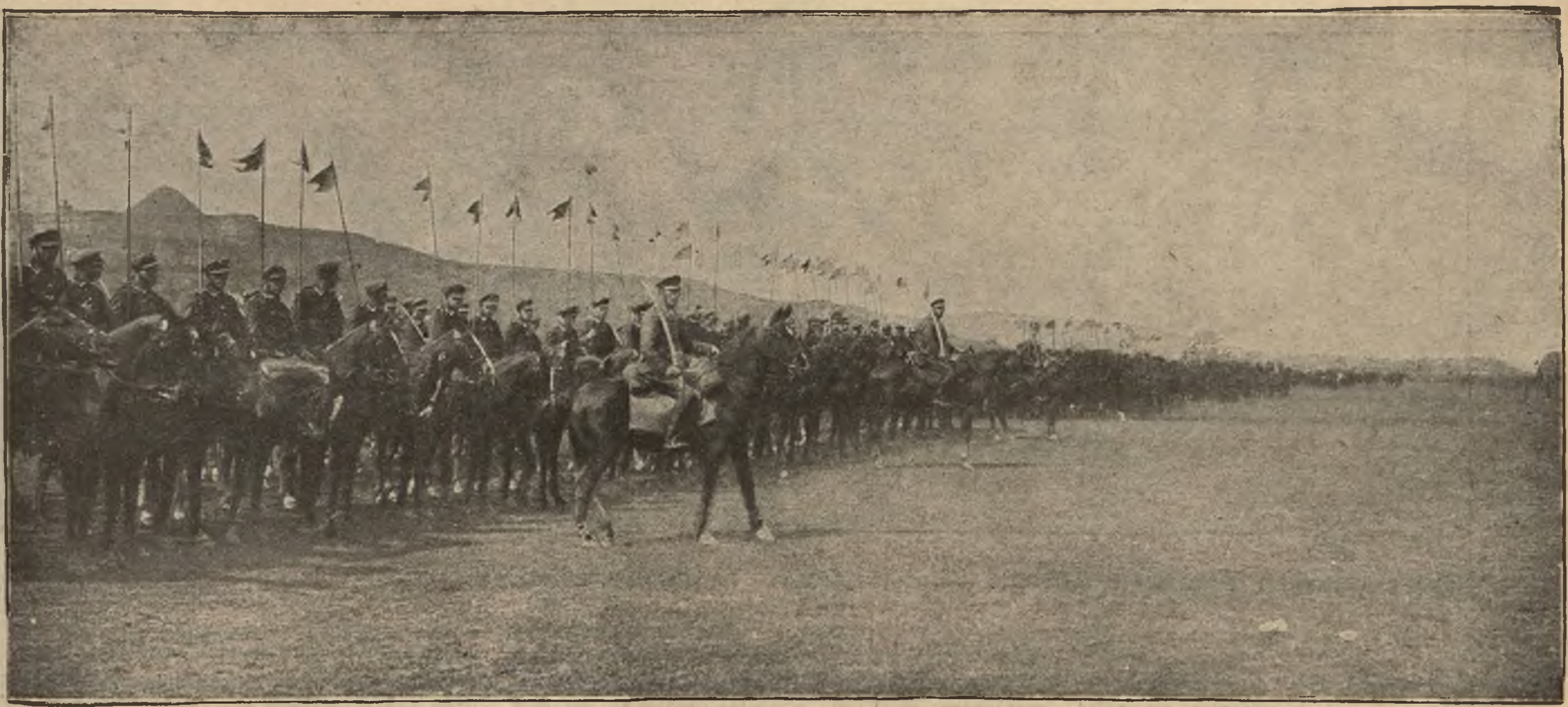
I staje wszystko w największym porządku na miejscach przez Komitet wskazanych. Okna domów i balkony zamieniają się w trybuny, pełne głów ludzkich i aparatów fotograficznych, gotowych do zdjęcia.

Na placu Maryackim przed specyalnie na ten cel skonstruowanym polowym ołtarzem, gdzie ks. arcybiskup Bilczewski mszę św. odprawiał — ugrupowały się reprezentacye wszystkich władz w mieście, za ołtarzem ustawił się chór Tow. śpiew. „Echo" z dyrygentem swym p. Szmidem. Zaczyna się Ofiara św. W milczeniu skupionem chylą się głowy, uginają kolana tysięcznej rzeszy nad którą ukochana przez Lwowian statua Matki Bożej w świetlanym otoku — wznosi dłonie błogosławiące.

Dźwięki orkiestry 18 pp. pod dzielną batutą kapelmistrza p. Granata wstrząsają umajone świeżą wiosenną zielenią drzewa... Ofiara św. skończona. Na podyum staje ks. Bombas, dziekan wojskowy Okr. Lwowskiego i mówić zaczyna. Piorunowym głosem wołał mowca i błagał o zgodę, łączność, jedność i pracę we wspólnym wysiłku poczętą.



W 131. rocznicę Konstytucyi: Tłumy zalegające Plac Matejki w Krakowie podczas przemówienia prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, dra K. Morawskiego.



W 131. rocznicę Konstytucyi: 8 pułk ułanów podczas mszy św. polowej na Błoniach krakowskich.

Głęboko padały w serca piękne słowa mowcy, który z uczuciem świeżem, z zapałem, jakim promieniały jego twarz i oczy, z niepospolitą siłą w przepięknej formie stylistycznej zwracał się do słuchających. Umilkł... a potężne, tysiącami piersi śpiewane strofy „Roty“ wstrząsnęły powietrzem. Następnie odbyła się defilada wojsk. Imponująco wyglądał długi, niekończący się korowód.

Najwspanialej przecież i niezwykle urządzono obchód sto trzydziestej pierwszej rocznicy Konstytucyi w Poznaniu, łącząc go z stuleciem wydania pierwszego tomiku dzieł króla naszych poetów, nieśmiertelnego Adama Mickiewicza. Do tego wielkiego święta przygotował się Poznań godnie, a celem uświetnienia go zaprosił w swe mury syna naszego wieszcza, sędziwego Władysława Mickiewicza, który nie odmówił wezwaniu i nie zważając na trudy odbył długą i męczącą drogę, aby na własne swe oczy widzieć, jak wygląda ta wolna Polska, którą tak gorąco pragnął oglądać jego rodzic. Na jego osobie skupiała się głównie uwaga, był on przedmiotem ogólnych owacyi, gdziekolwiek tylko się pokazał. W tym dniu bawili w Poznaniu także posłowie Ziemi Wileńskiej, co tembardziej przyczyniło się do podniesienia nastroju i powagi chwili. Poznań w tym dniu stwierdził, że długoletnia niewola niemiecka nie potrafiła w nim zabić ducha narodowego.

Program uroczystości poznańskich składał się z hejnału z wieży ratuszowej, odegranego o godzinie 6. rano i pobudki orkiestr, przeciągających ulicami miasta. Przed godziną dziewiątą, ruszył ze Starego Ratusza uroczysty pochód posłów Ziemi Wileńskiej i reprezentantów miejscowych władz i instytucyi do Fary na nabożeństwo, poczem odbył się pochód ogólny przed pomnik Mickiewicza. W południe uczczono setną rocznicę wydania pierwszego tomiku poezyi Adama Mickiewicza uroczystą akademią, wieczorem Teatr Wielki i Polski zgromadziły tłumy na uroczystych przedstawieniach. Zakończeniem dnia był wspaniały raut w salach Ratusza na cześć Władysława Mickiewicza i wileńskich gości.

Z życia sportowego na prowincyi.

Życie nasze, wykolejone wypadkami wojennymi, powraca powoli na normalne tory. Między innymi i sport, zaniedbany z konieczności przez cały szereg lat, ożywia się, zyskując sobie coraz liczniejszych zwolenników. Poznano się u nas na jego wartości, dotychczas niedocenianej należycie, z zadowoleniem stwierdzić możemy jego rozwój we wszystkich gałęziach, stawiający nas, jeśli nie na równi z zagranicą, to w każdym razie niezbyt daleko od niej. Dziś kładzie się u nas silny nacisk także na wychowanie fizyczne, a jednym z najdzielniejszych czynników w tym kierunku jest właśnie sport we wszelkich swych odmianach.

Życie sportowe w Polsce rozwija się bardzo pomyślnie tak w stolicach, jak i na prowincyi, zamiłowanie do niego szerzy się w coraz szerszych kołach, zdających sobie coraz jaśniej sprawę z tego, że wychowanie umysłowe powinno iść w parze z fizycznem w myśl starej, a stwierdzonej doświadczeniem maksymy: „zdrowa myśl w zdrowem ciele“.

W dniu 23 kwietnia b. r. zainaugurowało swój tegoroczny sezon częstochowskie Towarzystwo Cyklistów. Założone na kilkanaście lat przed wojną, rozwijało się stosunkowo pomyślnie w ówczesnej atmosferze, lata wojenne podziałały na nie zabójczo, podobnie jak i na inne pokrewne instytucye. Obecnie ożywia się na nowo, w warunkach dla rozwoju swego daleko pomyślniejszych, niż poprzednio.

W piękny, pogodny poranek niedzielny zebrali się członkowie Towarzystwa w liczbie kilkudziesięciu, a po wysłuchaniu okolicznościowej przemowy swego prezesa, lekarza-dentysty p. Romana Filipowicza, na temat znaczenia i celów towarzystwa, wyruszyli gremialnie do pobliskiej wsi Błachwnia, gdzie w miejscowym kościele parafialnym odprawił na intencyę pomyślnego rozwoju Towarzystwa uroczystą mszę św. ks. proboszcz Maryan Kubowicz, który w pięknych słowach życzył cyklistom wydatnej pracy nad odrodzeniem naszego sportu, zachęcając do zajęcia się nim także i swych parafian. Podczas mszy św. przygrywała orkiestra pod batutą kapelmistrza p. Fr. Kmiecia, oraz popisywał się chór kierowany umiejętnie przez p. St. Kozińskiego. Po nabożeństwie dokonał p. Edmund Reimschüssel zdjęcia fotograficznego uczestników tegorocznej pierwszej gremialnej wycieczki, a po wspólnym obiedzie powrócili cykliści do Częstochowy, żegnani życzliwie przez miejscową ludność.

W najbliższym czasie urządza częstochowskie Towarzystwo Cyklistów wyścigi, które dziś już budzą wielkie zainteresowanie.

Wystawa Organizacyi Uczniowskich i Pracy Pozaszkolnej Ucznia p. n. „Rejak“.

Młodzież gimnazyum im. Reja w Warszawie urządziła w dniach 20—23 kwietnia Wystawę szkolną p. n. „Rejak“. Wystawa ta, której zadaniem było odzwierciedlenie pracy pozaszkolnej ucznia i działalności organizacyi uczniowskich, wypadła nadspodziewanie okazale i interesująco. Zajęła ona 5 sal i obszerny korytarz szkolny. W pierwszej sali usadowili się rejacy harcerze, t. j. 8 W. Drużyna im. K. Pułaskiego. Wystawiła ona swe bogate i nie-



W 131. rocznicę Konstytucyi: I.) Naczelnicy władz i urzędów lwowskich przed defiladą II.) Msza św. polowa na Placu Maryackim we Lwowie obok statuy Matki Boskiej.

Fot. M. Münz, Lwów.



W 131. rocznicę Konstytucyi: I. Lwowski Senat akademicki i Rada miasta podczas mszy św. polowej. II.) Lwowski korpus oficerski. Fot. M. Münz, Lwów.

zmiernie starannie utrzymane zbiory przyrodnicze, mnóstwo fotografii z życia skautowego, modeli, przyrządów, planów, rysunków i dowcipnych obwieszczeń. W następnych salach mieszczą się kółka uczniowskie; w szkole im. Reja kółka rozwijają się pomyślnie, jest ich tam aż 18. Największe i najpracowitsze z nich, geograficzne, zajmuje salę drugą. Znajdujemy tam mnóstwo starannie wykonanych map, tablic statystycznych i rysunków; na stołach rozłożono referaty członków kółka. Najciekawszą, bo najwięcej dającą możności przyjrzenia się życiu młodzieży, jest sala trzecia. Na pierwszy plan wysuwa się w niej kółko koleżeńskie klasy VIII ej. Działalność jego rozpada się na dwie dziedziny: wewnętrzną i zewnętrzną. Zwłaszcza w dziedzinie pracy zewnętrznej zdziałało kółko bardzo wiele, — a i wystawa „Rejak" została przez nie zainicyowana i w olbrzymiej części zorganizowana. Poza kółkiem koleżeńskiem, znajdujemy w sali III-ej jeszcze kilka innych organizacyi uczniowskich: bogate zbiory daje kółko esperanckie; z opisem działalności występują kółka: sportowe (jest ich sześć!), szachowe (dwa), polonistyczne (dwa), koleżeńskie klasy IV-ej, chemiczne kl. V-ej, hygeniczne klasy IV-ej, warcabowe kl. VI ej, wreszcie pracowite, na szerszą miarę zakrojone koło Miłośników Historyi (klasy IV., V. i VI.). Całości sali tej dopełnia dział pracy uczniowskiej gimnazyum im. Reja z lat 1918—1922. Sala czwarta odzwierciadla nam zdolności artystyczne młodzieży rejowskiej, od klasy wstępnej począwszy a na VIII ej skończywszy. Salę piątą zajął w dwóch trzecich Polski Lotniczy Zw. Młodzieży, organizacya pracująca głównie na terenie szkoły im. Reja. Eksponaty młodych miłośników lotnictwa budziły wśród zwiedzających powszechne zainteresowanie i podziw. Resztę sali zajmują tablice pomocnicze do nauki zoologii, wykonane przez uczniów kl. IV-ej, oraz nieco prac dawnego kółka fizycznego. Na korytarzu rozmieściły się 4 działy. Pierwszy z nich — to samopomoc koleżeńska, najstarsza instytucya szkoły. Zbiera ona składki wśród uczniów klas IV.—VIII. i z uzyskanych w ten sposób sum opłaca wpisy za niezamożnych kolegów. W czasie wystawy był też otwarty sklep samopomocy, który sprzedawał pisemka uczniowskie i zdjęcia fotograficzne poszczególnych sal. Dalej mamy: dział reklamy uczniowskiej, zawierający szereg ładnych i artystycznie wykonanych plakatów i ogłoszeń, — dział samorządów, dający nam opis działalności tych pożytecznych instytucyi w poszczególnych klasach gimnazyum i w końcu dział statystyczny, w którym znajdujemy garść ciekawych danych liczbowych o życiu młodzieży, jej zamiarach na przyszłość, jej postępach w nauce, jej zamiłowaniach i t. d.

Wystawa była odwiedzana bardzo tłumnie zarówno przez uczniów, jak i osoby starsze, interesujące się młodzieżą, głównie ze sfer nauczycielskich.

Ma-la.



W 131. rocznicę Konstytucyi: Władysław Mickiewicz w otoczeniu posłów Ziemi Wileńskiej i uczestników uroczystego obchodu w Poznaniu u stóp pomnika Adama Mickiewicza.
Fot. Z. Szymkowiak, Poznań.

RENE BURES

Zil=X...

26 tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Ale skoro Jerzy Dambleuse się zabił?

— Wielki Boże! Więc cię stary Dambleuse nie wtajemniczył?

— W co?

— Mogłeś przecież sam odgadnąć, że Jerzy Dambleuse żyje...

— Żyje?

— Oczywiście.

— Jerzy Dambleuse żyje?! Nie odebrał sobie życia jak donosił ten dziennik?

— Ani mu się śniło?

— Więc cóż to było?

— Blaga, mój kochany!

— I tyś ją zainscenizował?

— Tak, ja!

— No, wiesz Dalton, to przechodzi już wszelkie pojęcie.

— Zdumiony jestem twojem zdziwieniem — odparł najspokojniej Dalton. — Myślałem, że się już przyzwyczaiłeś do niespodzianek naszego fachu.

Egzekucya.

Dwa dni, które nastąpiły po tym niezapomnianym wieczorze przepełnione były tak intymnymi faktami, że nie jestem wstanie notować wszystkich szczegółów, z tą drobiazgową troskliwością, jaką powodowałem się dotąd. Poróżnienie się moje krótkie z Daltonem, powrót jego, wyjaśnienie, któremu zmuszony byłem w końcu uwierzyć, w końcu pojedynek jego z Robertem Dartigues, wszystko to, odciągnęło mnie trochę od moich trosk codziennych. Przyznać przy tem muszę, że przez te dwa dni, miłe wspomnienie Zakliny Dubois nie dawało mi także spokoju. Zaklina była teraz daleko! Nazajutrz po tej scenie, wyjechała do Włoch! Długo pamiętać będę jej czarującą, energiczną twarzyczkę, z pałającemi, wymownemi oczami!...

Igginsa w tym czasie nie zobaczyłem wcale. Wiedziałem tylko, że upierał się przy tym nowym śladzie: wzajemnym stosunku Rivera Boldavo z kapitanem de Limandoux. Sądził widocznie, że ten ślad doprowadzi go do jakiegoś pewnego rezultatu.

Właśnie tego wieczoru miałem go zobaczyć. Mieliśmy się zejść u Daltona, w gabinecie przy ulicy d'Assas, gdzie tak wygodnie i spokojnie było można porozmawiać.

Iggins wyjaśnił, w codziennej swojej notatce, umieszczonej w „Burzy" okoliczności kradzieży listów Zakliny Dubois — nie wydając jednak Rivera Boldavo. Notatka ta, ukazała się 18 sierpnia. Oto jej treść:

„Wykazanem zostało, że listy Jerzego Dambleuse pisane do Zakliny Dubois i fotografia tej ostatniej, podpisana jej ręką, zostały zualezione w biurku senatora Poivier we willi „Bzów" i skradzione przez kogoś, który działał na rachunek kapitana de Limandoux. Jedna rzecz już także dowiedzioną została, że to kapitan de Limandoux był nabywcą owych dokumentów. Prawdopodobnem jest, że kapitan de Limandoux listy wręczył senatorowi Poivrier. Pomiędzy nimi jednak, nie było żadnej współdziałającej osoby!"

Notatka ta wywołała gorączkową ciekawość. Policya udawała, że nie wie o niczem. Od kilku tygodni zresztą, ostentacyjnie starała się ignorować Igginsa i jego działalność.

Reporterzy znowu z energią wzmożoną rzucili się do pracy. Ale napróżno dobijali się do mieszkania Zakliny Dubois, która wyjechała nie zostawiając adresu. Zresztą nie wiedzieli oni nic o rozmowie jaką mieliśmy z Zakliną i o jej wyznaniu.

* * *

— I znowu moi kochami błądzimy dalej w ciemnościach oświadczył nam Iggins wygodnie zasunięty w głęboki fotel, trzymając w ustach nieodłączną swoją fajkę.

— Śledztwo nic nie wykazało? — zapytał Dalton.

— Nic!

— Przypuszczałem to.

— I ja również odparł Iggins flegmatycznie. Ale trzeba było wszystkiego próbować... Po stronie kapitana de Limandoux nie było czego szukać właściwie. Wybadano już wszystkich jego znajomych i przyjaciół i nie dowiedziano się nic jak wiecie.

— A po drugiej stronie?

— Po drugiej stronie? Ha! jest ten pan Rivero Boldavo. Osobistość dosyć banalna... a bardzo zręczna. Teraz zajmijmy się jego przeszłością.

— I cóż?

— Nic nam z tego nie przyjdzie. Jestto rzezimieszek internacyonalny. Należy prawdopodobnie do jakiejś bandy. Oto wszystko. Przypuszczam, że w sprawie listów i fotografii działał sam, bez żadnej pomocy.

— Czy nie należałoby przypuszczać, że był ktoś przecież, który mu pomógł do poznania się z kapitanem de Limandoux.

— Być może. Ten ktoś mógłby być znajomym jego z klubu, lub też przyjacielem kapitana. Kazałem czynić poszukiwania w tym kierunku. Może coś znajdą... Ale co potem?

— Tak, co potem? — powtórzył w zamyśleniu Dalton. Będziemy się ciągle opierać tylko na przypuszczeniach. Ale jakim sposobem rewolwer Jerzego Dambleuse mógłby się znaleźć w rękach tego człowieka?

— Czy znał on wogóle Jerzego Dambleuse? — zapytałem.

— Znał go... nie można o tem wątpić — odpowiedział Iggins. Człowiek zna zawsze kochanka kobiety, którą mieć pragnie. Jednakże sądząc z zebranych wiadomości, jestem przekonanym, że Jerzy Dambleuse nie znał wcale tego pana.

— Co ten Boldavo robi w tej chwili?

— Będzie zasądzony poprostu za kradzież, to jest pewnem, ale zapewne nie wiele sobie z tego robi. To sprawa, która dla niego zły obrót wzięła, oto wszystko. On już niejedną gorszą widział, w niej brał udział. Co do listów, to policya nic nie wie jeszcze i nie posądza go jeszcze o szantaż. Zanotowali sobie tam, jeszcze na początku sprawy, że listy zostały skradzione przez służącą i to im zupełnie wystarcza. Znalezienie rewolweru przy zwłokach kapitana de Limandoux jest dla nich jasnym dowodem winy Jerzego Dambleuse. Ten mały, śmieszny sędzia, pan Giroux nie odstąpi od tego dowodu, za nic w świecie.

Iggins zamilkł po tych słowach i otoczył się kłębami dymu.

— Niewiem — zaczął znowu po chwili — czy leży w naszym interesie nie zachować dalej tajemnicy co do tego co wiemy?

— Nie mamy nawet prawa do tego — zauważył żywo Dalton. Musimy milczeć.

— Tak, oczywiście. Notatka w „Burzy" jest zupełnie wystarczająca.

— Gdyby nawet dowiedzionem zostało — rzekł Dalton — że listy te skradzione zostały na rozkaz kapitana de Limandoux, w celu wydania ich senatorowi, to i tak wykaże. że Jerzy Dambleuse jest mordercą, że był zmuszonym moralnie do zamordowania rywala, który działał w tak podły sposób.

— Już nawet mówią o tem — rzucił Iggins.

— Więc w rezultacie, ten biedny Jerzy Dambleuse zostanie jeszcze więcej skompromitowanym.

— Tak! tak! — oparł Iggins. Ale ty, mój kochany chłopcze, wyrabiasz także jakieś niepotrzebne jak widzę historye — dodał, przenikliwie wpatrując się w Daltona.

— Jakto?

— Co znaczy ta rana, którą masz na uchu? Cięcie szpadą, co?

— Ej, to drobnostka — zaśmiał się Dalton. — Pan wie, że o mało co nie pobiłem się z tym poczciwym Vallorbe.

— Co?

— A no, muszę panu jak widzę opowiedzieć tę historyę. — Mam teraz trochę czasu. No! nie gniewaj się Vallorbe. Musimy się wyspowiadać Igginsowi.

— Mów, mów — odparłem. — Masz moje przebaczenie — mój kochany.

— Otóż, mój drogi Igginsie — zaczął Dalton wyobraź sobie, że w ostatniej chwili — było to przedwczoraj. w dzień obiadu pod „Złotym Chrząszczem" — musiałem wyjść nie porozumiwszy się z Vallorbem. Obarczyłem starego Dambleuse misyą powiadomienia go o naszej mistyfikacyi i ten stary waryat zapomniał o wszystkiem. Nie uczyniłem mu potem nawet najmniejszego wyrzutu, bo byłby mnie tylko podług swojego zwyczaju zwymyślał i odesłał do wszystkich dyabłów. Ale zrozumiesz, że nasz przyjaciel, który o niczem nie wiedział był trochę zdumiony, kiedy mu w końcu sam wyjaśniłem wszystko. Otóż Vallorbe, oburzył się i pogniewał się na mnie.

— Jeszcze teraz gniewam się na ciebie — oświadczyłem śmiejąc się.

— Tak, tak — było to na Placu Opery. Wyobraźcie sobie Iggins ten szalony chłopak, tak się uniósł, że na wzór starego Dambleuse, chciał mnie i was i całą sprawę odesłać do wszystkich dyabłów.

— Przesadzasz, mój kochany!

— Bardzo mało. Wykrzykiwał głośno, że nie mamy zaufania do niego, że mamy przed nim tajemnice, że jesteśmy podejrzliwi względem...

— Ja wcale tego nie mówiłem, wiecie Iggins!

— A miałeś do tego prawo, mój chłopcze! Ale ja cię znam dobrze. Umiem poznać człowieka. Jesteś nas tak pewnym, jak my, ciebie.

Wstałem i gorąco uścisnąłem jego rękę.

— Bardzo dobry chłopiec — mruknął z zadowoleniem. Naprawdę Dalton, to doskonały chłopiec. On — wskazał na mojego przyjaciela, zawsze pełny najlepszych projektów i myśli, ale zawsze w ostatniej minucie, po waryacku — bez flegmy. Zanadto dużo nerwów... Panuje nad nimi dobrze... ale za dużo nerwów... za dużo... Daltona pomysł był doskonałym... trzeba było wynaleźć coś, coby wzruszyło serce tej małej choć na chwilkę.. na minutę... i zmusiło ją do podniecenia... do mówienia... Doskonale, doskonale.

— Wspaniale się to udało — zawołałem przejęty jeszcze wspomnieniem tej chwili.

— To się musiało udać. Myśl niezwykła! To było konieczne, inaczej nie wyciągnęlibyśmy nic z tej małej Zakliny. Wszyscy moi ludzie pracowali nad tym numerem dziennika. Wynająłem salę na ten cel u Dupoce'a. Kosztowało to nie mało, ale rezultat doskonały.

Iggins zacierał ręce z zadowoleniem uśmiechając się do nas.

— I jak wszystko gładko poszło — zauważył Dalton. — Przepłaciłem strzelca i spisał się wyśmienicie. Przyznaję jednak, że w ostatniej chwili obawiałem się katastrofy, albo nieudania się tej mojej mistyfikacyi.

— Widziałem jak drżałeś czytając dziennik.

— Drżałem, to prawda, ale jeszcze przed czytaniem — przyznał Dalton. — Wogóle ja nie wzruszam się nigdy podczas akcyi — ale przedtem.

— Za wiele nerwów! za wiele nerwów! — powtórzył Iggins.

— Gdybyście byli widzieli Iggins, przerażone oczy Zakliny Dubois, drżelibyście także.

— To niemożliwe — mruknął strasznym głosem Iggins.

— A ja upieram się, że tak.

— Nie mogę drżeć... to nie leży w moim organizmie. Ale ty mój chłopcze, musiałeś odbyć pojedynek. Czy nie szkoda czasu?

— Tak. Ale to było koniecznem. Ten poczciwiec Dartigues nie jest bardzo łatwym w pożyciu. Obydwie kobiety, musiały go zbuntować, kiedy dowiedziały się, że wiadomość była fałszywa. Wpadł do mnie zły jak pies. Chciał mnie zabić. Ale potem nie mógł się wstrzymać od śmiechu i przyszedł uścisnąć mi rękę.

— Zaklina Dubois musi nas bardzo surowo sądzić. I ma słuszność.

— Bez znaczenia... bez znaczenia — rzucił Iggins. — Tem nie możemy się powodować. Co najważniejsze moi kochani to, to, że wszystkie ślady nasze już wyeksploatowane, niestety.

— Tak potwierdził Dalton. Nie widzę już naprawdę nic do przedsięwzięcia.

— A wy, Vallorbe? — zapytał Iggins.

— Ja również...

— I ja także... Czekajmy więc. Jerzy Dambleuse, jak się dowiedziałem, dopiero za trzy tygodnie stanie do rozprawy. Potrzebuje aż tyle czasu do uregulowania papierów wszystkich. Ten mały sędzia umie na szczęście przewlekać sprawę. On jest bezwstydnie głupi, choć ma o sobie całkiem inne pojęcie. Nic zrobić nie może, ani na krok naprzód się posunąć — bez nas. My zaś, czekać będziemy — i przecież jakiś nowy ślad otworzy się przed nami — do dyabła.

— Jesteście tego pewni, Iggins?

— Oczywiście... Jeżeli tak się nie stanie, Jerzy Dambleuse zostanie stracony. Wierz mi, że tak będzie, Dalton.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

14.

— Niech giną! — zawołał jakiś majtek, który niezrozumiawszy zapewne ani słowa z całej obrony Prestona, ten tylko sens moralny umiał z niej wyprowadzić. Zgadzał się wszakże ten z opinią większości, jednak widziałem, że nie wszyscy byli dla nas w tak nieprzyjaznem usposobieniu. Carter korzystając z tego, ponowił swój wniosek, żeby nie być powieszonym, tylko rozstrzelanym, i nie tylko dla niego, ale i dla nas wszystkich przystano na tę zmianę egzekucyi. Nabito więc broń i kazano nam stanąć w jednym rzędzie. Preston dał znak, że chce jeszcze coś powiedzieć, nie wszyscy zgadzali się na dozwolenie mu tego, ale jednak ponieważ adwokatowi, który ma umierać, należy się z prawa przynajmniej dwa razy mieć przemowę do publiczności, przystano i na to.

Preston więc ukląkł przed Karoliną i wzruszonym głosem, wyrzekł co następuje:

„Karolino! Bóg mi świadkiem, że chciałem po to tylko przedłużyć życie moje, żeby ci honor i szacunek u świata, u tego świata, który nie potrafił pojąć twojego poświęcenia, tak jak ty moje pojęłaś. Ujęty twojemi przymiotami duszy i ciała, przysiągłem sobie, że będę twoje wygnanie podzielał i chronił cię od zetknięcia nieczystego tych kobiet, które wygnanie twoje dało ci za towarzyszki. Pielęgnowałem cię jak ogrodnik pielęgnuje delikatną roślinę pieczołowitości jego powierzoną. Tak, kochana Karolino, poświęciłem w tym celu życie moje, honor nawet. Nie ma nic piękniejszego i świętszego w świecie jak starać się odzyskać nowe istnienie, nowe zachowanie u ludzi, nową dziewiczość dla kobiety upadłej w światowem mniemaniu. A to co ja mówię do mojej dobrej i kochanej Karoliny Prior, to może i do was stosować się także, nieszczęsne istoty, w których namiętności mężczyzn wyrodziły wady, a wady stworzyły zbrodnie. Nie wy, nie wy, powinniście się tu znajdować, ale ci, którzy was uwiedli, podstępnemi obietnicami i zatrutym jadem słów miodowych. Wyście zawierzyły ich uczuciom i namiętnościom kłamliwym; i pewnej nocy wyślizgnęli się oni po cichu z objęć waszych podczas snu waszego, a kiedyście się obudziły, znalazłyście już tylko na ich miejscu złodziejstwo z ponurem wejrzeniem, rozpustę z powiędłemi ustami, dzieciobójstwo i te wszystkie zbrodnie, które idą w ślad za nędzą, a to najstraszliwszą nędzą mój Boże, bo nędzą, która kochała, nędzą, która widziała niebo.

„Znam ja was dobrze, wy nie jesteście szczere w waszem upodleniu, wy nie przylgnęłyście sercem do waszego występnego życia. Nie... wy dla tego tylko głośno przed światem popisujecie się z niemoralnością waszą, żeby przytłumić w sobie wyrzuty sumienia, żeby nakazać milczenie temu głosowi serca, który woła na was ciągle, żeście z prawej zeszły drogi. Nieprawdaż, że w tem zbłoconem waszem sercu znajduje się jeszcze jasna strona, gdzie dochowują się jeszcze świeże wspomnienia młodzieńczego wieku. Pamiętacie ten domek biały, w którymście się urodziły, ten prosty stół dębowy, koło którego dziećmi jeszcze zasiadałyście do wieczerzy błogosławionej przez ojca waszego, tę łąkę rodzinną, której kwiaty codzień z ranną rosą otwierały dla was woń i barwy swoje. Cóż więc was zabija i ocala zarazem? To ten głos ciągły, nieprzerwany, boski, sumienia waszego, to to światło, które Pan Bóg rozjaśnił w sercu pierwszej kobiety, co się zaciemnia czasem, ale nigdy nie gaśnie, i którego promień aż do ostatniej jej potomki odbłyśnie. Nie, wy nie jesteście szczere w dumie upodlenia waszego, ono wam samym obrzydło to upodlenie i żeby ukryć tę słabość waszą same się robicie fałszywemi, złemi, okrutnemi, podłemi i nikczemnemi. Ale ja wam nie wierzę i w godzinę śmierci mojej nazywam was głośno siostrami i córkami mojemi w Chrystusie i posyłam wam wszystkim łzy i przebaczenie moje".

Okropne, dziwne milczenie panowało na Niagarze; wiele deportowanych na kolanach, zasłoniwszy oczy rękoma, wylewało łzy rozczulenia żalu i skruchy.

Sądziłem już, że będziemy uwolnieni od śmierci; majkowie zdawali się wzruszonymi, deportowane mówiły do nich za nami po cichu, muszkiety przygotowane do rozstrzelania naszego, zdawały się już wypadać z rąk katów naszych. Na nieszczęście ten sam głos, który już dwa razy okrzyknął śmierć naszą, trzeci raz jeszcze dał się słyszeć, po skończonej mowie Prestona. Znikła przelotna myśl miłosierdzia, a pragnienie zemsty ogarnęło wszystkie serca i liczne głosy zawołały: „Śmierć im! śmierć! śmierć!"

Ja nie miałem nic do powiedzenia, nałożyłem więc fajkę i czekam na chwilę rozstrzelania.

Nagotowano muszkiety.

Miała wybić już dla nas ostatnia chwila.

Carter w chwili tej ostatecznej zdjął z głowy swoją czarną wełnianą czapkę i głosem silnym a dźwięcznym zaśpiewał „God save the king!" (Boże ocal króla!) Na dźwięk tego śpiewu, który wszystkie współczucia narodowe zamyka w sobie, jak essencya wszystkie zapachy, a te zapachy, wonie różnorodnych kwiatów całej okolicy, na dźwięk tego głosu wszyscy ci rozbójnicy, wszystkie te nierządnice, zaintonowały jednogłośnie „God save the king!" Więc najświętsze uczucie przywiązania do kraju nie wygasło jeszcze w tych sercach zwichnionych. Śpiew ten rozległ się szeroko, głośno, imponująco. Jeszcze pierwsza strofka tego chóru nie była ukończona, kiedy nagle Ascott zawołał:

— Okręt! okręt jakiś i na nas prosto płynie.

Zapomniano nas na chwilę i wszystkie wejrzenia zwróciły się na okręt widzialny o jakie dwie mile na krańcach widnokręgu.

Cóż to za okręt, i czego on chce od nas, oto zapytanie, które sobie każdy z nich czynił, jedni z żywem zajęciem, drudzy z rodzajem niejakiej bojaźni.

— To jest jakiś okręt kupiecki, który wychodzi z portu tej wyspy (mało kto bowiem z nich jeszcze wiedział, że ta wyspa to Madagaskar) pewno naładowany drogiemi towarami, trzeba go zrabować, czy chcecie zrabować ten okręt?

I wszyscy odpowiedzieli jednozgodnie:

— Chcemy! chcemy! zrabować go! zrabować ten okręt!

— Ale jeżeli chcecie go zrabować to trzeba wam odbyć z nim walkę, bo pewno bez obrony wam się nie podda; a zdaje się dość wielki i może się bronić skutecznie.

— Chcemy, pragniemy walki, cóż mamy lepszego do roboty, wszystkie porty są dla nas zamknięte. Nie mamy już schronienia jak na morzu. Więc niechaj to morze będzie miejscem tryumfu, lub grobem naszym.

— Wynieść broń na pomost — zawołał Ascott.

I przyniesiono zaraz broń i ułożono ją na pomoście.

— Wytoczyć armaty — zawołał Ascott.

I wytoczono armaty, otworzono okienka armatnie i zrewidowano skład prochu.

— Tak, ale co zrobimy z kobietami — zapytał się znowu wódz zbuntowanych.

— Kobiety będą walczyły razem z wami — odpowiedziała Prozerpina, one posłużą za przykład mężczyznom.

Ascott porwał Prozerpinę w objęcia i ukazując ją zbuntowanym, zawołał:

— Czyście słyszeli?

To poruszenie obraziło wielu zbuntowanych, których jakeśmy już to powiedzieli, niecierpliwiła despotyczna władza, jaką sobie Ascott przywłaszczył nad nimi i tyrania Prozerpiny. To głuche nieukontentowanie rosło z każdym dniem, z każdą godziną prawie i wzrosło do olbrzymich rozmiarów, kiedy Ascott pragnąc zanim rozpocznie się walka z tym niewiadomym okrętem, ciągle na nas płynącym, pozbyć się Cartera, zakomenderował wskazując na nas:

— Cel! pal!

Zaledwie domówił tych słów, dwadzieścia pik uderzyło o lufy muszkietów i wytrąciło je z rąk majtków, mających nas rozstrzelać, i sto rąk żelaznych porwało za nie, żeby je zniszczone i połamane w morze wrzucić.

Ten nowy bunt pomiędzy zbuntowanymi wybuchnął przy okrzykach śmierć Ascottowi, śmierć Prozerpinie! Niech żyje Carter! Górą Carter!

Więc tedy połowa osady rozpoczęła już bój zażarty z drugą połową.

A statek, który wyszedł z portu Madagaskaru, płynął ciągle na nas.

Dotychczas miały tylko miejsce częściowe sprzeczki i kłótnie na tym zbuntowanym okręcie, były to osobiste pojedynki raczej, niżli walka ogólna. Ale stan rzeczy w jednej chwili inną zupełnie wziął postać, i znak walki, która straszliwą stać się miała, wydanym został przez jednego majtka ze stronnictwa Cartera. Jednem cięciem topora odrąbał on po ramię rękę majtkowi ze stronnictwa Ascotta. I bezzwłocznie wszystkie te bronie, które zgromadzone zostały na pomost, żeby atakować ten okręt, który się widocznie coraz bardziej do nas zbliżał, wszystkie te bronie zostały porwane przez tych szaleńców i odwrócone przeciw ich towarzyszom. Deportowane uzbroiły się także. A w ich ręku każda broń jeszcze straszliwszą się stawała, ich niezręczne, ale okrutne uderzenia na los wymierzone były, nie raniły, ale kaleczyły najstraszliwiej, nie zabijały, ale mordowały. Uderzenia toporów, wystrzały, cięcia pałaszów, pchnięcia szpadą szły jak grad jedno po drugiem, mieszając się, krzyżując pomiędzy sobą, przy blasku błyskawic, przy huku strzałów ręcznej broni i piorunów burzy, a nad tem wszystkiem ciemna mgła i dym zawisły, a pod stopami tych ludzi mordujących się pomiędzy sobą, krew ciągle świeża, rumieniąca pomost odpływała farbując czerwono pieniste morskie fale bijące o okręt; — któż był zwycięzcą, kto zwyciężonym, śmierć tylko sama mogła to wyrzec. Ale i śmierć przybywała w milczeniu i coraz więcej gromadząc trupów, fałom je morskim na łup oddawała. Przez chwilę dwaj straszliwi wodzowie stanęli jeden naprzeciwko drugiego, mierząc się srogim wzrokiem, jak gdyby wyszukując miejsca, w któreby raz wymierzony śmiertelnie mógł ugodzić, ale kula armatnia, co w tej chwili przeleciała pomiędzy nimi, rozdzieliła ich na chwilę.

— To jest okręt wojenny — zawołał Ascott — zgubieni jesteśmy, to okręt wojenny!

I w tejże samej chwili okręt, który nas gonił od trzech godzin, odkrywając nagle całą baterye swoją cisnął na nas grad kul i kartaczy; dwudziestu trzech ludzi padło na ziemię.

— To fregata! — zawołał Ascott — rozwinąć wszystkie żagle, uciekajmy, bo jeżeli nie zdołamy uciec, będziemy wisieli wszyscy. Chcieć się bronić byłoby tylko bezużytecznem szaleństwem.

— W całem mojem życiu marynarskiem — mówił dalej majster Gandolf — nic podobnego nie widziałem, i nic już pewnie podobnego widzieć mi się nie zdarzy. Byliśmy już tylko górą płótna poddymanego przez wiatr, maszty gięły się, iż zdawało się co chwila, że się złamią, liny pękały, jak struny od skrzypców, okręt za słaby na taki pęd straszny do połowy prawie korpusu pogrążał się w wodę; boczne jego ściany odrywały się z trzaskiem powoli, był to pyszny i straszliwy widok, ta nasza rozpaczliwa ucieczka, i pogoń tej fregaty, która nie ustępują nam w szybkości, co chwila wyrzucała na nas to kule pojedyncze, to znów stosy kartaczy, zmiatając nas pomost z ludzi.

— Wodzu! — zawołał jeden majtek — jeżeli nie zwiniemy co żagli, to już okręt dłużej nie wytrzyma.

— Rozwiń jeszcze dwadzieścia nowych żagli — zawołał Ascott.

— Ależ zatoniemy z pewnością.

— To zatoniemy — odpowiedział Ascott.

Carter zaś objął dowództwo nad wszystkimi swoimi stronnikami. Irlandczyk Preston stanął spokojnie przed Karoliną Prior i uzbrojony ogromną szablą, groził nią każdemu ze stronników Ascotta, który się tylko za blisko do jego kochanki przysunąć odważył.

— A ty majstrze Gandolf?

— O ja...

— Cóż robiłeś podówczas?

— Ja, trzebaż wam to wyznać, byłem ogromnie kontent z tego, co się działo! Anglicy wytępiali Anglików, z tego czysty zysk tylko, szatan się śmiał, a ja się śmiałem razem z szatanem.

— A sam nie próbowałeś przypadkiem wmięszać się do tej bójki, tak sobie dla rozrywki.

To jest...

— No, przyznaj się ojcze Gandolf.

— Czy przypominacie sobie tego łajdaka sternika, co zdradził nas tak podle w chwili, kiedyśmy już mieli opuszczać Niagarę?

— Tak, tak, tak.

— No, to wziąłem ciężką sztabę żelazną i łeb mu roztrzaskałem.

— A to co innego!

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

5)

Na parę dni przed przyjściem czerwonych do miasta, jenerałowa przeniosła do Edwardów swoje najcenniejsze rzeczy i tam ukryła.

Dziś myśl jej od murów więziennych, które skryły jej męża, zbiega się co chwila do tego tajemnego loszku pod sypialnią i truchleje.

...Wszak tam są rzeczy, za które i ją rozstrzelać muszą... i właściwą gospodynię tego mieszkania.

Ale Iza jej na to za każdym razem odpowiada, wzruszywszy ramionami:

— Będzie... co być ma...

Kiedy się dziś późnym wieczorem położyły i dobrze drzwi pozamykały, zastukano w nie pięścią. Żołdak kazał otworzyć i jenerałową wywołał do śledztwa.

Iza została sama. Chciała drzwi zamknąć po jej wyjściu, ale nie dano. Kazano zostawić wszystko otworem, bo może jeszcze będzie rewizya.

Oczywiście, że nie spała. Zostawiła światło. Ale wkrótce ktoś, kto z sąsiedniego pokoju ciągle obserwował, przyszedł zgasić lampę w jej sypialni pod pozorem oszczędzania elektryczności.

Tembardziej miała się Iza na baczności.

Kędyś w odległych pokojach ryczał gramofon, przekrzyczany przez wrzeszczących pijaków. Z salonu jenerała dolatywały dźwięki rozbijanego fortepianu, przy którym odbywały się tańce wśród orgij.

W bliższych pokojach tu i ówdzie spano, gdzieniegdzie jeszcze się ktoś plątał, pogwizdując. Ale długo ciszy doczekać się nie można było.

Izę bardzo sen morzył, lecz postanowiła sobie nie zasnąć. Przez niedomknięte drzwi z dawnej ich jadalni padało światło. Wzrok Izy zawisnął na tej smudze jasnej i czuwał.

Godzina była już bardzo późna. Nawet echa orgij coraz bardziej słabły. Jeno z sąsiedniej jadalni słychać było częste kroki, ale wreszcie i to ucichło.

Głowa Izy zaczęła się chwiać sennie. Była bliską drzemki. Nie wiedziała, kiedy wsunął się do sypialni żołdak... i podpełznął do jej posłania.

Ocknęła się... i ujrzała tuż nad sobą, w smudze światła latarni, wielkie białka oczu męskich... i twarz czarną... błyszczącą wstrętnie...

Krzyknęła, zerwała się. Ale zbir już ją powalił na posłanie.

Zaczęła się z nim szamotać. Próbowała krzyczeć, lecz mężczyzna twarz jej czemś nagle zarzucił i głos w niej zdławił.

Walczyła przez chwilę. Wydarła się raz i drugi, ale czarny zbój ściągnął ją z powrotem na posłanie i gniatając jej ciało, jął gwałcić.

— Edi! — jęknęła Iza.

W tej chwili huk wystrzału napełnił ściany pokoju.

Wśród tumultu i wrzawy Iza omdlała.

IV.

Jenerałowej nie wołał nikt do śledztwa. To tylko z sypialni uprowadził ją „Czarny dyabeł", jak zwano nocującego stale w pokoju sąsiednim żołnierza, o twarzy niezwykle ciemnej, odzianego w mundur koloru czerwonego, a z nastaniem wieczora snującego się po domu w bieliźnie z błękitnego jedwabiu.

On zamknął ją w komórce, służącej do niedawna za spiżarnię, a dziś pustej, ale cuchnącej wstrętnie. Tam kazał jej czekać.

Biedna kobieta, oparłszy się o półkę z kąta sterczącą, trwała tak długo w ciemnicy na rozmyślaniu.

I ona, jak Iza, była w tym kraju cudzoziemką, związaną z nim jedynie przez męża.

On — inżynier, człowiek o wysokiej kulturze, świetnie wykształcony za granicą...

Wróciwszy w strony rodzinne, nie oddawał się wcale polityce, a nawet nic wspólnego nie miał z wojskowością.

Kiedy jednak roboty publiczne, na których czele stał podczas wojny — rząd zmobilizował, — jemu niespodzianie przypadła ranga i tytuł jenerała.

Oczywiście, że dla band czerwonych, które teraz władzę wzięły w ręce, wystarczało to, by jenerała-inżyniera traktować jako niebezpiecznego dla nich kontrrewolucyonistę i czynnego działacza z obozu białych.

Zaraz w pierwszej chwili wtrącono go do więzienia, a dom jego ze wszystkiego ograbiono i skonfiskowano. Ale rzeczy cenne do tej chwili ocalały w kufrach, ukrytych przez żonę w tajnym schowku pod sypialnią sąsiadów.

— Co będzie... gdy w tych kufrach natrafią oni dziś na cały labirynt papierowych planów i projektów technicznych inżyniera...

Oto była treść myśli jenerałowej w śmierdzącej komórce.

— Co będzie? — pytała raz za razem. — Może jeszcze dzień... jeszcze dwa... a potem traf nieoczekiwany odkryje schowek pod sypialnią... i wszystko wyjdzie na jaw... kto schował... kto pomógł przechować... a co... i dlaczego...

Były chwile, że nie mogła tego odżałować, iż w taki sposób narażała żonę poety. Wszak ją przedewszystkiem uczynią za to odpowiedzialną i nic nie pomoże okoliczność, że od chwili strasznej śmierci Edwarda mają Izę za waryatkę.

Nazwa ta przylgnęła już do pięknej młodej wdowy, ale w razie owego odkrycia tuż pod jej posłaniem, któż będzie chciał zważać, czy się ma do czynienia z istotnie obłąkaną... czy istotą o umyśle normalnym.

Komu zresztą wypadnie o tem decydować... Któż jest tu dziś władzą?... Kto stanowi sąd?... Kto spełnia krwawe wyroki?

Wszak to wszystko ludzie nawpół niepiśmienni... ordynarni prostacy... nie mający o niczem pojęć elementarnych... a szczycący się właśnie z dumą tym swoim analfabetyzmem... i tylko wściekłą nienawiścią ziejący ku wszystkiemu, co choćby odrobinę przerasta wyżyny ich marnego poziomu umysłowego i moralnego...

Jenerałowa zbliska od szeregu dni patrzała na tych ludzi, którzy — w jej pojęciu — nadawali się na parobków stajennych, bo już swemu mężowi nie dałaby im butów czyścić... a którzy w tym domu, na kancelaryę wielkiego sztabu armii zamienionym, udawali pułkowników, jenerałów.

Dziś mają widocznie dużo powodów do nowej uciechy, skoro przez cały wieczór tak głośno w ich pokojach.

— Biedny ten fortepian — myśli jenerałowa, gdy do jej uszu w spiżarce dolatują echa orgij z kwatery samego komendanta.

— Chciałabym być w tej chwili klawiszem w tym instrumencie... Zdaje mi się, że pod tem dotknięciem brutalnem owego chama... ryknęłabym głosem, któryby go stropił... głosem, któryby go precz odepchnął... głosem, któryby go wygonił z tego przybytku... i poraziwszy... wcisnął go w zagnojony kąt podwórka...

Precz! precz...

Biedny fortepian!

Odgłosy orgij z czasem przycichły, bo zapewne skutki pijaństwa zmusiły uczestników zabawy do spoczynku.

— Może teraz przyjdą po mnie — pomyślała jenerałowa. — A może właśnie o mnie zapomną... i do południa zostawią mnie w tem cuchnącem zamknięciu...

Co też tam biedna Edwardowa robi w tej chwili... Pewnie spać się boi, tak sama...

Tuż za jej drzwiami ów czarny dyabeł, który wieczyście swem natręctwem prześladuje Izę...

A to już musi być późno.

Nigdzie usiąść nie sposób, bo w ciemności nie można dowierzać kątom tej spiżarki.

Znużona, wyczerpana, a tylko łokciem o półkę oparta, zaczęła chwiać głowę sennie, jakgdyby mimowoli zapadając w drzemkę... gdy naraz huk ogłuszający rozbudził ją... Wszystko dokoła niej zatrzęsło się... i nagle z trzaskiem rozpadła się ściana.

Kiedy pierwsze wrażenie minęło... kiedy przekonała się, że nie stało jej się nic złego... i że przeciwnie, ów wystrzał czy wybuch uwolnił ją z zamknięcia — spróbowała wydostać się z rumowiska.

Ciemno było zupełnie, ale z dworu oświetlał blask księżyca. Znalazła się na podwórzu. Ale zaraz zawróciła, bo straszne zamieszanie w całym domu dało jej do myślenia, że może być niebezpiecznie natknąć się w tej chwili na kogokolwiek.

Wszak nie mogło to być nic innego, jak zamach terrorystyczny, więc jej wałęsanie się wśród nocy po podwórzu wydać się musi podejrzanem.

Ukryła się — i sama niewidziana, przyglądała się panicznej bieganinie gromady ludzkiej po podwórzu, skąpanym w poświacie miesięcznej. Z rozmów żołdaków dorozumiała się, co zaszło.

To z trzech stron równocześnie rzucono ręczne granaty. Wybuch był silny. Jedną ścianę domu zwalił zupełnie w gruzy... w innych porobił wyłomy... a wszędzie wielkie sprawił spustoszenie...

Nie ocalała ani jedna szyba... Mnóstwo mebli zniszczonych... A w ludziach liczne ofiary.

Sam komendant wyszedł cało — mimo, że w jego pokoju dwie dziewczyny, nago leżące na podłodze, poraniło śmiertelnie.

Słyszała, jak mówiono o kilku sztabowcach swoich ciężko pokaleczonych i paru zabitych.

Myślała ciągle o tem, jakie zniszczenie sprawił wybuch w sypialni, w której zostawiła Izę... Niepokoiła się o jej los... ale i o to nie mniej, czy schowek pod podłogą nie został przez wybuch właśnie odkryty.

Miała gwałtowną ochotę pójść tam... i sprawdzić, co się dzieje... Ale ciągle tylu żołdaków kręciło się wokoło niej, że bała się wyjść ze swego ukrycia.

Zresztą wybuch musiał zniszczyć światło elektryczne w całym domu, bo zauważyła, że ludzie plątali się wśród rumowiska z jakimiś ogarkami i lichymi kagankami...

I tam zapewne w sypialni zastałaby mrok nieprzenikniony... Więc tembardziej lękała się tej nocnej wyprawy dla odszukania Izy.

Ale kiedy po pewnym czasie krzątanina ustała, jenerałowa, o której widocznie nikt nie pamiętał w tej chwili, opuściła swoje ukrycie... i chyłkiem dostała się do sypialni Edwardów.

Panowała tam cisza.

Weszła do środka, upewniwszy się, że nigdzie w pobliżu niema nikogo.

Zamiast księżyca, świt poranny rozjaśniał pokój...

Na podłodze zastała rumowisko.

Naraz zdjął ją wielki lęk o los Izy.

Wszak ten kawał ściany, zasypując podłogę, mógł właśnie dosięgnąć jej posłania...

Zbliżyła się... zaczęła szukać... zaglądać i krzyknęła przerażona.

Na jej krzyk odpowiedział głos z pod rumowiska.

Iza leżała w ogromnych kałużach krwi... przywalona trupem mężczyzny w bieliźnie z błękitnego jedwabiu... Na nich obojgu ciężki stos gruzów.

Gdyby nie to ciało mężczyzny, któremu odłamek granatu zadał ranę śmiertelną w tył głowy, walące się cegły musiałyby ugodzić wprost w Izę.

Z omdlenia ocuciła się ona już dawno, a teraz... szamocąc się z trupem... nie może się od niego uwolnić...

W śmiertelnej męce przyszła jej na pomoc właśnie jenerałowa.

Kiedy nareszcie udało się wydobyć Edwardową z pod rumowiska — w wyłomie rozwalonej ściany stanął komendant ze swym pomocnikiem.

Sprowadziły ich tu głosy kobiece wśród ciszy.

I oto zjawili się z miną tryumfującą: wszak odkryli nareszcie winowajców zamachu...

Nowy tumult... zbiegowisko żołdactwa... A za chwilę obie kobiety pod wielką strażą wyprowadzono na podwórze... Tu z jękiem żałosnym rozwarły się ciężkie, ogromne podwoje żelazne do składów podziemnych... a żołdacy kolbami wepchnęli niewiasty do lochu.

W ciemnicy potwornej zsuwały się te dwa ciała po kamiennych schodach w głąb... coraz niżej... aż się zatrzymały na czemś wilgotnem... przeraźliwie zimnem...

Był to śnieg... przed miesiącami, w zimie, do lochu zwalony... i stanowiący w upalne lato lodownię dla całego domu.

Iza nie wiedziała, czy ma na swojem ciele jakie rany... Cała jej bielizna jednak nasiąkła krwią... i całe jej ciało krwią ociekało...

Bolało ją wszystko... Więc może być, że i jej krew sączyła się skądkolwiek... Nie zdawała sobie sprawy z tego...

Jednego tylko doznawała wrażenia... że ta krew wydaje jakąś woń ohydną... która przypominała jej „Czarnego dyabła" w błękitnych jedwabiach...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Miesiąc maj rozpoczęliśmy szczęśliwie międzynarodowem świętem pracy w dniu pierwszego maja, w dwa dni zaś później sto trzydziestą pierwszą rocznicą Konstytucyi Trzeciego Maja.

I jeden i drugi obchód uświęcony był próżniactwem, które stanowi obecnie nieodzowny punkt programu wszystkich ważniejszych uroczystości. Dziwnie jednak wygląda jakoś uczczenie „święta pracy" próżnowaniem, a z pewnością także i z tendencyami twórców Wiekopomnej Konstytucyi niezupełnie zgadza się święcenie jej pamiątki przez wstrzymanie się od pracy. Im zależało na tem, aby ustrój społeczny w Polsce uzyskał silne i trwałe podstawy, a tego dokonać może tylko wytężająca praca, a nie próżniactwo. Trudno jednak sprzeciwiać się duchowi czasu, który każe szanować swe siły, trzeba iść za ogólnym prądem i próżnować, choćby się nawet miało i największą do pracy ochotę, aby w pierwszym wypadku nie okrzyczano zdrajcą ludu pracującego, w drugim sprawy narodowej.

Dzień pierwszego maja przeszedł w Krakowie zupełnie spokojnie. Po raz pierwszy w tym roku usłyszeliśmy w nocy grzmoty, spadł też deszcz, nad ranem wypogodziło się przecież i obchód międzynarodowy odbył się ściśle wedle programu z małem tylko urozmaiceniem, zainicyowanem przez naszych zwolenników Lenina i Trockiego, lecz skreślonem przez ogół pracującego ludu, zdającego sobie bardzo dobrze sprawę z tego, jak wygląda i komu właściwie przynosi korzyści tak zwany „raj bolszewicki". To skreślenie z programu owego urozmaicenia odbyło się w sposób bardzo stanowczy, wobec czego nasi bolszewicy dali za wygraną i nie próbowali protestować, zadowoleni widocznie, że drążki od ich transparentów połamano nie na ich plecach, jak się to stać było powinno. Przy tej sposobności dowiedział się także Kraków, jak wyglądają jego bolszewicy i gdzie ich szukać, gdyby ich kiedykolwiek okazała się potrzeba.

Ogólnie się mówi, że ruch bolszewicki jest aktem bronienia się społeczeństwa przeciw wyzyskowi, w dniu pierwszego maja przekonaliśmy się jednak, że to chyba nieprawda, gdyż właśnie apostołowie tych nowych teoryi są w dziewięćdziesięciu procentach członkowie tej rasy, nam obcej, która przyczynia się głównie do ekonomicznego pogorszenia stosunków, uprawiając zawodowo wszelaki wyzysk i lichwę. Młode to przeważnie wszystko, słusznie też mogłoby być nazwane „narybkiem bolszewickim", nie rokującym nadziei, aby dalszy jego rozwój u nas miał się odbywać pomyślnie oczywiście dla niego, nie dla nas, gdyż tylko własne interesy ma on na celu, a wielkie hasła społeczne są tylko parawanem, za którym kryje się coś zupełnie innego. Rok rocznie przypominają się domorośli komuniści naszej pamięci, z każdym rokiem akcye ich opadają przecież coraz bardziej i skłoni ich to może do pogardzenia tym niewdzięcznym krajem i skierowania się gdzieindziej, gdzie się prędzej na ich zasługach poznają i należycie je ocenią.

W dniu trzeciego maja rocznicę uchwalenia konstytucyi obchodziły wszystkie sfery polskiego społeczeństwa, neutralna mniejszość narodowa przeważnie wstrzymała się od wzięcia udziału, wobec czego miał Kraków w dniu tym wygląd zupełnie odmienny od zwykłego, i nikt nie przypuściłby nawet, że leży on w Małopolsce, stanowiącej pewien rodzaj ziemi Obiecanej. Punktem głównym programu była msza św. polowa na błoniach miejskich przy udziale armii, władz, instytucyi, szkół i tłumów, a następnie pochód przed pomnik Grunwaldzki. Wszystko odbyło się z należytą powagą, wypadałoby sobie jednak życzyć, aby w organizowaniu podobnych uroczystości ujawniała się silniej energiczna ręka, wszystkiem kierująca, najdrobniejszy bowiem nieład wywiera niekorzystne wrażenie, a tego rodzaju uroczystości powinny się odbywać ściśle wedle z góry postanowionych zasad, nad których przeprowadzeniem czuwać winien gorliwie urządzający komitet.

Pochód w dniu trzeciego maja wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby kierowała nim energiczna ręka, jak to bywało dawniej, za owych tak zwanych gorszych czasów, które przecież pod każdym względem były lepszymi.

Rozpoczęliśmy zatem szczęśliwie miesiąc maj, zwany miesiącem słowików, a będącym właściwie pierwszym miesiącem wiosny w całej swej krasie i uroku. Niestety, z wiosną zbliża się także i przednowek, który, choć w obecnych czasach trwa u nas rok cały w obecnym okresie przybiera przecież na nasileniu, wobec czego wszelkie wiosenne nastroje ustępują bardziej prozaicznym troskom o zapewnienie sobie bytu, dla wielu, szczególnie zaś dla pracujących umysłowo, polegającym na uchronieniu się od głodowej śmierci. A warunki bytu z dnia na dzień stają się coraz gorsze i trudniejsze, jaskółką zapowiadającą ich pogorszenie w dalszym ciągu jest zapowiedź rządu o biciu nowych banknotów dziesięciotysięcznych, gdyż przedwojenne kieszenie okazują się już nie wystarczające na pomieszczenie takiego zapasu gotówki, jaki codziennie trzeba zabrać ze sobą z domu na pokrycie niezbędnych wydatków, a trudno chyba wymagać, aby przeciętny obywatel używał w tym celu specyalnej torby, która zresztą dla wielu ze względu na cenę, okazałaby się nieprzystępną. Przed wojną kupowało się wszystko na halerze, lub mówiąc po staremu na „centy", w ciągu wojny przeszliśmy na korony, te zamieniliśmy na marki i co pewien czas musiało się sięgać po coraz większe wartości. Dziś już zapomnieliśmy jak wygląda pojedyncza marka, najdrobniejsza obiegowa moneta jest banknot dwudziestomarkowy, mający mniejwięcej wartość dawnego halerza. Właściwe pieniądze, za które można coś kupić (i to bardzo nie wiele!...), to „lisy" i „tygrysy", a do nich przybędą obecnie i „słonie", o ile w tej nomenklaturze pójdziemy za śladem Wiednia, gdzie określenie: *Elephanten* zyskało sobie już prawo obywatelstwa.

Pojawienie się banknotów 10 000 markowych nie jest zatem objawem pocieszającym, świadczy bowiem, że drożyzna rośnie, a wartość pieniędzy się zmniejsza, czyli, że zdążamy powoli, ale stale ku takiemu stanowi rzeczy, jakim się cieszy obecnie sowiecka Rosya. Tak daleko jeszcze wprawdzie nie zaszliśmy i nie posiadamy jeszcze banknotów opiewających na pół miliona, lub milion, które tam nie należą dziś do rzadkości, ale możemy się spodziewać, że z czasem doczekamy się także czegoś podobnego, o ile nasze miarodajne czynniki nie zabiorą się raz już do energicznego i bezwzględnego tępienia wyzysku i lichwy, bez względu na osobę tego, który się ich dopuszcza. Energia ministra Michalskiego, mającą nas ratować w nieszczęściu jako nadzwyczajny komisarz dla zwalczania drożyzny każe żywić nadzieję, że będzie może lepiej, o ile oczywiście najlepsze jego chęci nie zostaną w zarodku sparaliżowane, jak się to u nas, niestety dzieje zbyt często, a tem częściej teraz, gdy zbliżają się wybory i niektórzy kandydaci za wszelką cenę starają się zdobyć sobie popularność w szerokich kołach swych wyborców.

Istnieją u nas wprawdzie urzędy, zajmujące się zwalczaniem lichwy i paska, aż nazbyt dobrze przecież wiemy, jak wywiązują się ze swego zadania. Robi się tyle, aby się nazywało, że urząd jest w ruchu i że jest potrzebny, ale właściwie jego przeznaczenie dalekie jest od wyników jakie wykazuje. Czytaliśmy niedawno, że krakowski Urząd walki z lichwą w ciągu stosunkowo swojego niedługiego istnienia ściągnął już tytułem kar pięć milionów marek, ale cóż nam z tego, gdy skutków jego działalności nie widzimy, drożyzna zamiast zmniejszać się rośnie. Nie wielki z tego pożytek dla ogółu, jeżeli jakąś tam Katarzynę Kogut, lub Mateusza Paskudę skazano na pięć tysięcy marek grzywny lub dziesięć dni aresztu za sprzedawanie bułek o markę drożej, niż postanawiał cennik ustanowiony przez władze, gdy w tym czasie pięciuset innych mniejszych i większych handlarzy, kupców i restauratorów sprzedawało bułki po cenie wygórowanej, a nikt ich za to nie pociągnął do odpowiedzialności. Ale u nas dzieje się zwykle tak, że się łowi drobne rybki, co przychodzi z większą łatwością, wielkim zaś pozwala się żerować spokojnie. Mieliśmy przykład przed świętami, jak niektóre artykuły nie należące wprawdzie do kategoryi codziennej potrzeby, dajmy na to wino, miód i wódka w jednym dniu w bardzo poważnych firmach co kilka godzin drożały o sto marek, a nie znalazł się nikt, kto zareagowałby na to i takiego uprzywilejowanego paskarza zaprosił do Urzędu walki z lichwą. A ten urząd nie powinien się bawić wobec niego w jakieś grzywny pieniężne, z których on się śmieje, gdyż z góry zapłacili je już jego odbiorcy, lecz zamknąć go z miejsca, a w razie powtórnego przyłapania na podobnym wyzysku odebrać koncesyę na prowadzenie danego przemysłu. Takie postępowanie oczyściłoby radykalnie atmosferę. Ale musiałoby być stosowane bez względu na to, kto jest obwinionym, czy ma on wpływy, którym narazić się nie należy, czy też nie.

Podobnej metody u nas się nie stosuje, tępienie lichwy i paska nie jest zatem właściwą akcyę dążącą do tego celu, lecz *ut aliquid fecisse videatur*, śmieją się się też z tego ci wszyscy, którzy pracują pod znakiem „paska" i robią na nim miliony. Jeżeli żelazna ręka i miotła ministra Michalskiego i w tym kierunku rozwinie swą czynność, może doczekamy się lepszych czasów, w każdym razie nie tak prędko, jak należałoby sobie tego życzyć. Ale lepiej późno niż nigdy.

Byłoby także wskazane, aby nasze czynniki urzędowe nie przyczyniały się do szerzenia paskarstwa. Mamy tu przedewszystkiem na myśli nasz monopol tytoniowy, który, nie wiemy, jak gdzie, ale w Krakowie prowadzony jest nad wyraz niedołężnie. Palenie jest nałogiem od którego odzwyczaić się trudno, jeśli się jest więc narażonym na ustawiczny brak tytoniu po normalnej cenie w trafikach, musi się go szukać u pokątnych paskarzy, u których jakoś nigdy go nie brakuje. Kronikarz, jako bardzo bogaty człowiek, pali fajkę, którą napycha tytoniem, tak zwanym „fajkowym zwykłym" i ma tę przynajmniej z tego korzyść, że w domu ani jeden mól nie wytrzyma. Ale z tem właśnie bieda, że, aby się w ów „fajkowy zwykły" zaopatrzyć, trzeba nieraz czekać dwa i trzy tygodnie. Gdyby to można się jeszcze postarać o większy zapas, to byłoby głupstwo, ale przy wielkiej protekcyi dostaje się najwyżej pięć paczek, a to na taki okres nie wystarczy. Krakowska fabryka, zaopatrująca nasze trafiki, wydziela go i zbyt rzadko i zbyt skąpo, jest to zaś rodzaj tytoniu, nie wymagający zbyt wiele przygotowań, nim zostanie oddany do użytku. Nie powinno go zatem brakować, tembardziej, że płaci się zań takie ceny, jak niegdyś za tytoń, który palił sam sultan. Byliśmy zdania, aby, ze względu na dochody państwowe, utrzymano monopol tytoniowy, obecnie zmieniliśmy je i cieszyło by nas bardzo wprowadzenie wolnego handlu, a może wówczas nie byłoby tyle kłopotów.

Zanim przystąpimy do omówienia spraw konferencyi genueńskiej, która dotąd się jeszcze nie rozleciała, musimy się przyznać, że jedna z wiadomości, podanych przez nas w poprzednim numerze, okazała się częściowo fałszywą, a to dzięki informacyi, którą zaczerpnęliśmy z dziennika krakowskiego i to takiego, który żyje tylko prawdą i tem się chwali, choć często potem odwołuje to, co poprzednio napisał lub pomija milczeniem, wychodząc z założenia, że nie warto zaprzątać sobie głowy tem, co się już stało. Odnosi się to do wiadomości, powtórzonej przez nas, że prof. Wyczółkowski opuszcza Kraków i przenosi się w Poznańskie. Jak się obecnie pokazuje z zaprzeczenia ogłoszonego przez artystę w pismach krakowskich pozostaje on nadal w Krakowie, do Poznania wyjechała jedynie jego galerya. Pozatem wszystko ma się tak, jak w ubiegłym tygodniu podaliśmy. Magistrat krakowski jest z tego powodu zrozpaczony, z jednej strony bowiem atakują go ludzie, zresztą zupełnie słusznie, że dzięki jego opieszałości, stracił Kraków cenny nabytek artystyczny, z drugiej strony nadzieje jego spaliły na panewce, spodziewał się bowiem, że się uda zarekwirować dla jakiegoś protegowanego mieszkanie prof. Wyczółkowskiego.

Niewiele miejsca zostało nam na Genuę, ale też, prawdę mówiąc, niema co o niej pisać, gdyż konferencya, jak stanęła na martwym punkcie, tak dotąd stoi, a nikt, nawet sam Lloyd George nie wie, kiedy się skończy wymiana rozmaitych not dyplomatycznych i memorandów, po których załatwieniu możnaby przystąpić do właściwego rozpoczęcia obrad. Każdy z ważniejszych uczestników ma inne żądania i te wysuwa na pierwszy plan, podnoszą się głosy, aby konferencyę odroczyć na kilka miesięcy celem ułatwienia rzeczoznawcom zebrania potrzebnego materyału. Jeśli odbudowa Europy pójdzie w tem tempie, co obrady konferencyi, możemy być święcie przekonani, że za dwieście lat nie dojdzie jeszcze do ostatecznego porozumienia. Kto dożyje, ten się o tem przekona.

Z tego wszystkiego, o czem nam doniosły telegramy, wynika niezbicie, że Lloyd George, choć się tego wypiera, wiedział dobrze o mającym dojść do skutku sojuszu między Niemcami a bolszewikami i z góry go akceptował. Żądania jego, aby do Genui zwołano przedstawicieli mocarstw, które podpisały traktat wersalski, każą przypuszczać, że ma on w planie wyjednanie dla Niemiec pewnych złagodzeń, czemu jednak całą siłą opiera się Francya. Odbudowa Europy na tych warunkach byłaby tylko wielką komedyą, a główny przedsiębiorca zabiera się w ten sposób do swego dzieła, jak gdyby chciał burzyć, a nie budować.

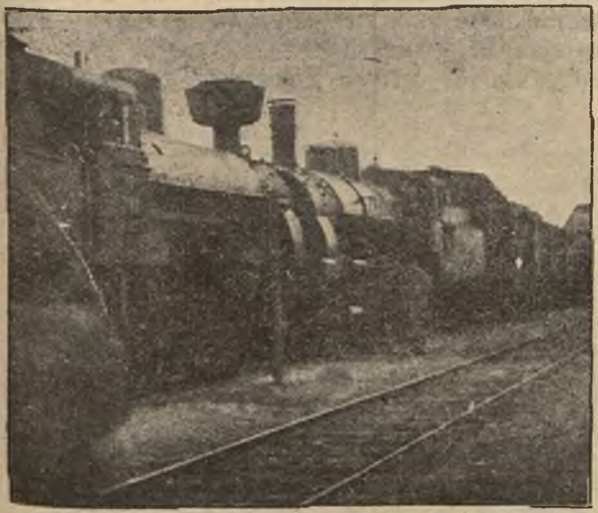
Członkowie konferencyi nie narzekają jednak, bawią się bowiem dobrze, a jedzą jeszcze lepiej i nie mieliby nic przeciw temu, choćby narady miały potrwać nawet i dziesięć lat z rzędu.

Ale kto to wszystko zapłaci?... Podobne pytanie nasuwa się każdemu, a w ślad za niem i odpowiedź, że my, jako ci, którzy mieli korzystać z dobrodziejstw odbudowy.

Straszna katastrofa kolejowa w Ropczycach.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście).

Dzień 26 kwietnia b. r. przyniósł nam wiadomość o katastrofie kolejowej na dworcu w Ropczy-



Straszna katastrofa kolejowa w Ropczycach: Lokomotywy zderzonych pociągów.

cach, której ofiarą padło życie dziesięciu rekrutów, pochodzących z powiatu Hrubieszowskiego, a przeznaczonych do służby w 1 pułku strzelców podhalańskich, kilkudziesięciu lżej i ciężej rannych, oraz kilkanaście osób z podróżnych cywilnych, które odniosły przeważnie lżejsze uszkodzenia.

Na stacyi w Ropczycach stał właśnie pociąg mięszany nr. 361, idący od strony Krakowa, gdy nagle, niedługo przed godziną siódmą rano, wpadł nań pełną siłą pary zdążający od strony Rzeszowa pociąg nr. 942, wiozący rekrutów z powiatu hrubieszowskiego, przeznaczonych do służby w 1 pułku podhalańskich strzelców. Skutki zderzenia były straszne, obie lokomotywy uległy silnemu uszkodzeniu, wozy kolejowe, znajdujące się bezpośrednio za niemi, spiętrzyły się i zostały częściowo zdruzgotane, a pod ich gruzami znalazło się kilkaset osób, z których dziesięć poniosło śmierć na miejscu, około dwa-



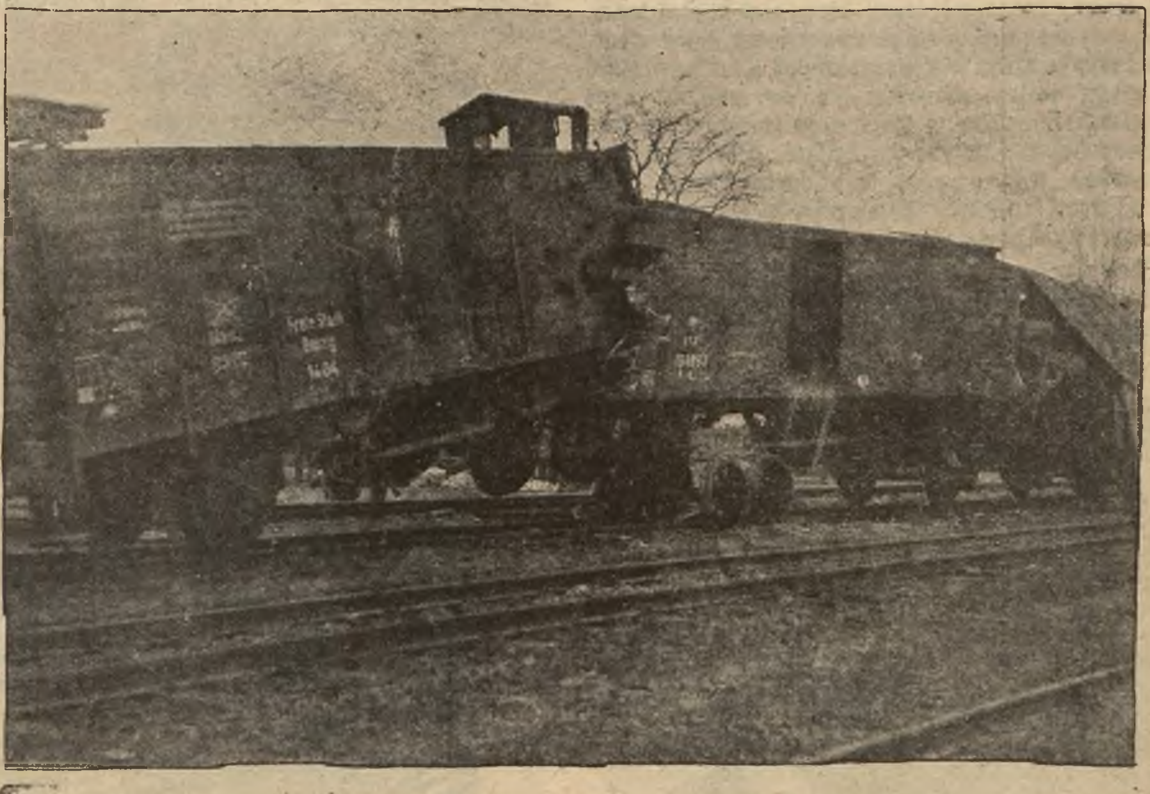
Z życia sportowego na prowincyi: Częstochowskie Towarzystwo Cyklistów z prezesem p. Romanem Filipowiczem na czele po uroczystem inauguracyjnem nabożeństwie.

dziestu odniosło ciężkie obrażenia, sześćdziesiąt zaś lżejsze. Ofiarami padli głównie żołnierze-żołnierze, z pomiędzy cywilnej publiczności odniosło lżejsze rany kilkanaście osób, jadących pociągiem mięszanym nr. 361, nadto kilku funkcyonaryuszów kolejowych, między nimi maszyniści obu pociągów. Przyczyną katastrofy było przeoczenie przez maszynistę pociągu wojskowego nr. 942 p. Skórę sygnału wjazdowego, ustawionego na „stój".

Katastrofa wywołała na stacyi ropczyckiej łatwo zrozumiałą panikę, momentalnie jednak otrząśnięto się z niej i pospieszono z ratunkiem nieszczęśliwym, których jęki dochodziły z pod gruzów rozbitych wozów. Rozpoczęto natychmiast akcyę ratunkową wytężonemi siłami, z pomocą przyszły okoliczne stacye, Rzeszów, Dębica, Tarnów, także i Kraków.

Po sześciogodzinnej intenzywnej pracy udało się uprzątnąć do tego stopnia gruzy zawalające tory kolejowe, iż można było przywrócić normalny ruch pociągów. Ciężko rannych przewieziono do szpitala w Tarnowie, ciała zabitych pozostały na dworcu kolejowym w Ropczycach i stąd też odbył się ich pogrzeb na cmentarz miejscowy w dniu 28. kwietnia b. r.

Kondukt wyruszył z dworca kolejowego, poprzedzony muzyką wojskową z Rzeszowa.

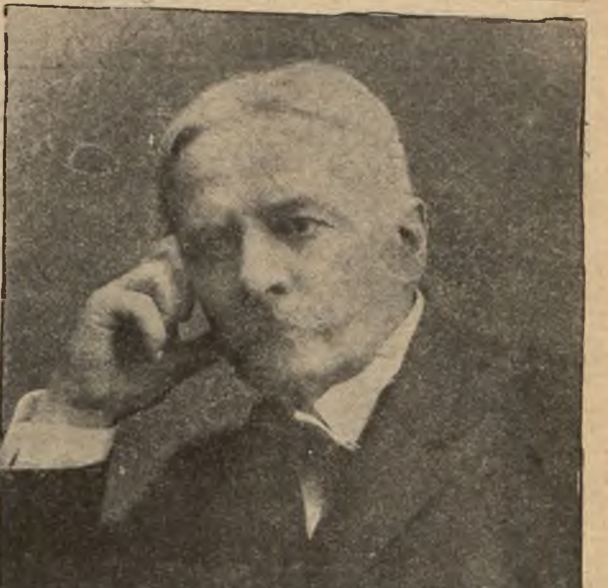


Straszna katastrofa kolejowa w Ropczycach: Spiętrzone i częściowo lub całkowicie zniszczone wagony pociągu wojskowego.

Na pięciu wielkich, zielenią okrytych wozach, spoczywało dziesięć trumien ze zwłokami nieszczęśliwych żołnierzy. Równocześnie z konduktem posuwał się parowóz kolejowy wzdłuż drogi, wiodącej do cmentarza, a syrena wydawała przytłumione sygnały. W żałobnym orszaku, oprócz delegatów 1. p. strzelców podhalańskich z N. Sącza, z kap. Malikiem, postępowali przedstawiciele władz i urzędów, ze starostą Loretem i wiceprezesem Rady pow., Lisowskim, na czele, dalej delegacya krak. Dyrekcyi kolej. z wicedyr. Mendochą — delegacya 1 p. ułanów z Dębicy, reprezentacye gmin z Ropczyc i Dębicy z burmistrzami Bursztynem i drem Kottasem wreszcie ponad 5 tysięcy liczący orszak publiczności. Nad wspólną mogiłą przemówił w rzewnych słowach ks. Mieczysławski. Na grobie złożono kilkanaście wieńców, między innymi od pułku podhalańskiego, od miasta Ropczyc i pań miejscowych.

Nad mogiłą zasłużonego muzyka.

Wśród plejady muzyków, którzy kulturę tej „najpiękniejszej ze sztuk" uprawiali oraz krzewili w Krakowie w ciągu ostatnich lat czterdziestu, działając na różnych jej polach — korzystnie wybija się charakterystyczna i typowa postać śp. prof. dra Franciszka Bylickiego, wybitnego pianisty-wirtuoza, a zarazem pedagoga, niestrudzonego krzewiciela zamiłowania do muzyki ojczystej. Starsi bywalcy koncertowi zawdzięczali mu wiele miłych i podniosłych chwil, spędzonych jużto w sali Saskiej, jużto na wieczorkach w dawnem Kole Literackiem itd., gdzie aranżując produkcye, objaśniał je odpowiedniemi prelekcyami, okraszonemi dowcipem i dużym, krasomówczym wdziękiem. Zwolennik kierunku romantycznego w muzyce, entuzyastyczny wielbiciel Chopina, Liszta, oraz całej im współczesnej plejady twórców, nie mógł się przekonać do Wagnera, któremu poświecił w „Czasie" kilka nieprzychylnie brzmiących fejletonów. Miły w życiu codziennem, pełen wytwornych form towarzyskich, pozostając w styczności z śmietanką ówczesnego świata literackiego, artystycznego oraz arystokratycznego, czynił wiele dobrego każdemu, kto uciekł się pod jego opiekę. Urodzony Krakowianin (1845 r.), wstąpił



Nad mogiłą zasłużonego muzyka: Ś. p. Franciszek Bylicki, b. profesor gim. im. Sobieskiego w Krakowie.

w lecie roku 1863 jako siedmnastoletni młodzian w szeregi powstańcze, a w grudniu, po bitwie pod Rzyckiem, dostał się do niewoli moskiewskiej. Zesłany na Sybir, staje się w ciągu czteroletniej niewoli źródłem ulg dla swych towarzyszy niedoli. Dzięki talentowi muzycznemu uzyskał miejsce nauczyciela muzyki dzieci komendanta twierdzy i świadczył tą drogą wiele dobrego towarzyszom niedoli. Po powrocie z Sybiru wstąpił na Uniwersytet Jagielloński który ukończył, doktoryzując się na wydziale historycznym. Odtąd pracuje w szkołach średnich krakowskich, ostatnio w gimnazyum im. Sobieskiego, lubiany i ubóstwiany przez młodzież, którą sam kochał szalenie. Spensyonowawszy się po owdowieniu, osiadł z córką na kawałku ziemi w Tenczynku pod Krzeszowicami, a w ciągu wojny przeniósł się do majątku syna Stanisława, Zyznowa, w Rzeszowskiem, gdzie w dniu 29 kwietnia zaskoczyła go śmierć. Pochowano go z honorami wojskowymi, jako odznaczonego krzyżem „Virtuti militari" bojownika za Ojczyznę, której zmartwychpowstania doczekał się.

Poza pracą pedagogiczną rozwijał śp. prof. dr. Bylicki także żywą działalność muzyczną i muzyczno-pedagogiczną, a nadto dziennikarską, pracując



Zgon b. prezydenta Francyi: Wybitny parlamentarzysta francuski, Paweł Deschanell, poprzednik Milleranda na fotelu prezydenta.

w charakterze referenta muzycznego w „Czasie", „Reformie", „Głosie Narodu", „Nowinach" i w zamiejscowych pismach codziennych oraz muzycznych.

St. Bursa

Francuska wystawa kolonialna w Marsylii.

W dniu 16. kwietnia b. r. otwarto w Marsylii uroczyście zapowiadaną oddawna i bardzo szumnie reklamowaną wystawę kolonialną, mającą zapoznać Europę z całokształtem francuskiej polityki kolonialnej, z jej nabytkami w różnych częściach świata. Urządzenie jej ma charakter wyłącznie ekonomiczny, nie jest przecież pozbawione i znaczenia politycznego, stanowiąc jeden z etapów przyjaznego zbliżenia się Francyi do ludów rasy żółtej, szczególniejszy bowiem nacisk położono na posiadłości zamorskie francuskie w Indochinach i Afryce Północnej. Przeniesiono żywcem do Europy najbardziej malownicze i interesujące motywy z tych obszarów, znajdujemy tu wierne kopie monumentalnych budowli, spotykamy osobne dzielnice, zamieszkałe przez egzotycznych mieszkańców, nie wyjeżdżając z Europy zapoznać się możemy najdokładniej z ich życiem, zwyczajami i obyczajami, przemysłem i kulturą. Wystawę urządzono z wielkim nakładem starań i kosztów, jest ona dumą każdego Francuza, mogącego na własne oczy stwierdzić bardzo obfity dorobek polityki kolonialnej swojego rządu, prowadzonej bardzo racyonalnie bez zbytniego, a przynajmniej nie wpadającego w oczy ciemiężenia podbitych ludów, a mającą na celu zapewnienie Francyi jej mocarstwowego znaczenia w świecie politycznym, przedewszystkiem zaś ułatwienie interesów gospodarczych i przemysłowych, mających podnieść dobrobyt macierzystego kraju, jego handel i przemysł, znajdujące rynki zbytu w zamorskich koloniach i miejsce zdobywania tanim i łatwym sposobem ich skarbów przyrodzonych.



Francuska wystawa kolonialna w Marsylii. Pawilon indochiński, wierna kopia jednej z najwspanialszych budowli w Angkor-Vat (Kambodża).

Polityka kolonialna francuska, prowadzona coraz w żywszem tempie i coraz intenzywnej, różni się wybitnie od takiejże angielskiej, gdy tu bowiem raz po raz rwą się nici łączące Anglię z jej koloniami, stosunek kolonii do Francyi staje się coraz ściślejszy i sympatyczniejszy, opierając się na obopólnem zaufaniu zwyciężonego do zwycięzcy. Racyonalność tego kierunku i płynące stąd dla Francyi korzyści stwierdziła ostatnia podróż prezydenta Milleranda do Afryki Północnej, usadowienie się Francyi w Syryi i nawiązanie przyjaznych stosunków z rządem angorskim, które zapewniły Francyi na długie lata jej wpływy na Wschodzie.

W parze z zwycięstwem militarnem w ostatniej wojnie światowej jest wystawa marsylska dowodem niezwykłego wzrostu potęgi francuskiej na każdem polu i w każdej dziedzinie.





Wystawa Organizacyi Uczniowskich i Pracy Pozaszkolnej Ucznia p. n. „Rejak": 1) Sala 5., zawierająca eksponaty Polskiego Lotniczego Związku Młodzieży. 2) Komisya wykonawcza Komitetu Organizacyjnego Wystawy z opiekunem Wystawy prof. St. Kurowskim. Stoją od lewej ku prawej: Straueman, Warszawski, Korytkowski, Kassakaitis.

Zgon b. prezydenta Francyi.

Telegramy z Paryża doniosły w ubiegłym tygodniu o śmierci jednego z najwybitniejszych współczesnych francuskich mężów stanu, Pawła Deschanella. Była to osobistość pod każdym względem bardzo wybitna, w dziejach trzeciej Republiki zajmująca bardzo poczestne miejsce, dla nas bynajmniej nie obojętna, Deschanell bowiem znał dobrze sprawy Wschodu Europy, zajmował się niemi żywo, a do Polski odnosił się zawsze ze szczerą sympatyą.

Potomek rodziny dla Francyi bardzo zasłużonej, uważany był Deschanel za należącego do arystokracyi burżuazyjnej, co mu jednak nie przeszkadzało w zyskaniu sobie zaufania innych stronnictw, a to dzięki wysokiej kulturze, taktowi, a przedewszystkiem umiarkowanemu kierunkowi polityki, dążącemu



Z teatrów: P. Adwentowicz w roli miljardera (oczekuje wybuchu). Akt I. „Gaz". Teatr im. J. Słowackiego.

stale do łagodzenia nieporozumień w drodze kompromisowej. Tym zaletom zawdzięczał powołanie na najwyższe stanowisko we Francyi, to fotel prezydenta Republiki, który zajął po Poincarem. Cały szereg lat pracował wydatnie w Izbie Deputowanych, w której przez pewien czas przewodniczył ku ogólnemu zadowoleniu i pożytkowi kraju, ster rządów Francyi dzierżył w swem ręku stosunkowo bardzo krótko, zmuszony do złożenia go z powodu ciężkiej choroby nerwowej. Po powrocie do zdrowia nie usunął się od życia publicznego, a jako członek Senatu miał w najbliższym czasie wystąpić z krytyką obecnej polityki rządu francuskiego, reprezentowanej przez Poincarego, którego zapatrywań na obecną sytuacyę nie podzielał.

Oprócz spraw politycznych zajmował się Deschanell bardzo żywo i naukowemi. Jego liczne prace w tym kierunku zjednały mu zasłużony rozgłos i otwarły przed nim podwoje Akademii Francuskiej, a ostatnia jego monografia o Gambecie spotkała się z ogólnem uznaniem i życzliwem przyjęciem przez fachową krytykę.

Paweł Deschanell zmarł licząc 66 lat, w życiu politycznem swej ojczyzny brał wybitny udział od całego szeregu lat, a kierunek, który reprezentował, znajdował widocznie we Francyi licznych zwolenników, czego dowodem powierzenie mu prezydentury Francyi w czasach dla niej najważniejszych. Na jej horyzoncie zabłysnął wówczas, jako gwiazda pokoju, jeśli zaś nie zdziałał tyle, ile pragnął, to wina nie jego, lecz ciężkiej niemocy, która zmusiła go do chwilowego wycofania się z życia publicznego.

Z TEATRÓW

Niebo samo mi świadkiem, ile nadjadłem się strachu i jak okrutne przeżyłem chwile, zanim poznałem osobiście „Wilkołaka" (komedya w 3 aktach Angelo Cana, grana w „Bagateli") Chcąc bowiem wysoko dzierżyć sztandar teatralnej krytyki, chcąc być wszechstronnie doskonałym i głęboko naukowym sprawozdawcą (by nie pozostać w tyle poza bardzo w tym interesie pogłębionymi kolegami...), zwróciłem się — o ja nieopatrzony! — o bliższe informacye o wilkołakach do „Szkiców" p. Józefa Rostafińskiego, członka Akademii Umiejętności i profesora botaniki! Boże mój, czego ja się tam nie dowiedziałem!... Oto pan Rostafiński kazał mi obserwować biedną, kochaną muchę, przylepioną jedną nogą do szyby, muchę — niestety już nieżywą, rozdartą. Z niej wydobywa się las nitek, białych, niewinnych nitek, z których końca odrywa się coś białego, jakiś pyłek... To jest właśnie wilkołak, zwany nastrojowo Empuzą!! Ten wilkołak leci do drugiej muszki, żywej, radosnej, uśmiechniętej, nucącej pod nosem, przylepia się do niej, przebija skórę, dostaje się do wnętrza, rośnie tam, pasożytuje, ssie tłuszcz, krew, wysysa życie... Muszka pęcznieje, pęka w miejscu najsłabszem w trzech po dłużnych pasach, a z tych szpar wychodzą nowe niteczki... Oto wilkołak, Empuza, oto, przed czem drżały czułe nerwy moje! Byłem pewny, że takiego samego pasożyta zobaczę na scenie i cierpieć będę musiał na widok cudownych muszek, do których się taki wilkołak przyczepi... No — były wilkołaki, ale nie tak groźne i muszki zgoła od nich cierpień nie zaznały... Myślano wprawdzie, że profesor liceum żeńskiego jest majster nad majstrami, okazało się atoli, że pedagogia działa w każdym razie nieco osłabiająco, wskutek czego profesor naraz trzech równocześnie absolutnie uszczęśliwić nie potrafi!! (Lokaj hrabski — a to znów zupełnie co innego!! To są wybrańcy, specyalnie do „rasy" dostosowani!). Okazało się zatem, że nawet „duchowo", za pomocą astralnego ciała pewnych rzeczy załatwić się nie da, że osobiste zjawienie się jest stanowczo w takich wypadkach wymagane i pilnie przestrzegane! Spirytyzm, cała wiedza ezoteryczna i wszystkie astralności w tym wypadku zgoła nie zdadzą się na nic... Kobiety lubią stoliczki i ekierki — ale kiedy in dziej!... I biada takiemu, któryby zapragnął wyręczyć się... astralnie!!... Grano tę satyrę na kobiety (zwłaszcza błękitnej krwi), na spirytyzmy, ezoteryzmy i inne macchiawelizmy ogółem bardzo interesująco. Doskonałą (szczególnie w 1 akcie) była p. Malicka (Kamila), raz naprawdę rozruszanym i przedsiębiorczym był p. Fritsche (prokurator), bez zarzutu grała p. Skalska (Nina), p. Dobrzański (okultysta)... Niemą rolę wieśniaczki interesująco odtworzyła p. Bobóg. P. Pawińska grała księżnę Casablancę dyskretnie, półtonami, raczej z flegmą niż gorącością południa.

Jakto człowiek nigdy niczego naprzód nie przewidzi i nieraz się nawet sam przed sobą zbłaźnić może!!...

Idąc na „Wilkołaka", drżałem febrycznie ze strachu na myśl, co to będzie;... idąc na „Gaz" (sztuka w 5 aktach Jerzego Kaisera — grana w Teatrze im. Słowackiego), byłem spokojny, obojętny, jak przystało jak na każdego, który patrzy się w Krakowie na niepozapalane gazowe lampy... Tymczasem potem?! Po „Wilkołaku" śpieszyłem do domu pełen różowych rojeń i nieokreślonej nadziei, — po „Gazie" zdenerwowany, wystraszony, dygocący febrycznie... Bo, proszę tylko słuchać! Naprzód była zjawa: pan „na biało ubrany" (p Białkowski) o wejrzeniu nieboszczyka, włosach upiora, spodniach po dziadku — olbrzymich! Potem był wybuch — wybuch gazu tak straszny, że goście w kawiarni teatralnej zlatywali z krzeseł, a pan Nowicki (złoty sekretarz teatru) biegał z weronalem, eterem i kroplami waleryanowemi po wszystkich piętrach, wybierając objekty do cucenia całkiem interesujące; potem konał straszliwie obłąkany robotnik, a potem? potem bezradziejne rezonerstwo, postawione na koturnie i w pathos ubrane — nuda teatralna, uromaicona aż karabinem maszynowym, który na szczęście nie strzela i — zapowiedź noworodka przez p. Modzelewską Maryę (Córka).

Rzecz scenicznie postawiona słabo, rozciągnięta na obrazów pięć, gdy wystarczyłyby w zupełności dwa; ideowo natomiast, aczkolwiek nie nowa, przecież o tendencyi szlachetnej (a może tylko rzekomo szlachetnej!?)... Oto miliarder (p. Adwentowicz) po wybuchu gazu nie chce już fabryki odbudowywać; wie bowiem, że ta sama katastrofa znów nastąpi i znowu tysiące ludzi życie utraci... A on tego nie chce! On pragnie swoich robotników, swoich współpracowników naprawdę uszczęśliwić — on zamiast fabryki chce im pobudować wille, łazienki, ogrody... Lecz się przeliczył z ludzką naturą. Robotnicy nie chcą domów, will, ogrodów i życia sytnego na trawie w szczęściu, lecz łakną zysków, płynących z pracy, z fabryki, choćby się na nowo zawalić miała.. Miliarder przegrał — ustąpić tłumom i jego żądaniom musi! Może noworodek (jego wnuk) potrafi urzeczywistnić ideę dziadka... Pewności atoli co do tego nie posiadamy żadnych...



Z teatrów. P. Miarczyński w roli obłąkanego robotnika. (Akt I. w sztuce „Gaz". Teatr im. J. Słowackiego).

Grano tę sztukę (poza aktem czwartym) bez zarzutu. Świetnym był p. Miarczyński (obłąkany robotnik), dostojny w masce, wyborny w grze p. Adwentowicz, interesujący jako sylweta p. Białkowski. Reżyserya p. Trzcińskiego pomysłowa i subtelna... Zawiódł tłum po akcie czwartym i „mowa" p. Brackiego. *b—i.*

NADESŁANE.

OGŁOSZENIE SUBSKRYPCYJNE.

Na podstawie postanowienia Ministerstwa Przemysłu i Handlu, oraz Skarbu z dnia 24. sierpnia 1921 r., ogłoszonego w Monitorze Polskim Nr. 218 z dnia 26 września 1921 r. podnosi się kapitał akcyjny Firmy

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE i WYDAWNICZE „RYNGRAF" S. A.

z kwoty Mkp. 15,000.000·–, do wysokości kwoty Mkp. 45,000.000·–, przez wypuszczenie 30.000 sztuk akcji II. emisji wartości nominalnej à Mkp. 1.000·–, na któreto akcje ogłasza się niniejszem publiczną:

SUBSKRYPCJĘ

na następujących warunkach:

I. Akcje II. emisji są na okaziciela.

II. Pierwszeństwo do nabycia akcji II. emisji służy właścicielom akcji I. emisji w stosunku 3 nowe na 2 stare akcje.

III. Pozostałe akcje nie rozebrane przez dawniejszych akcjonarjuszy przydzielone będą według uznania Zarządu, ewentualnie sprzedane publicznie po cenie niższej niż emisyjna.

IV. Cenę emisyjną nowych akcji określa się na Mkp. 1.150·–, dla właścicieli akcji I. emisji, którzy skorzystają z prawa pierwszeństwa i na Mkp. 1.400·–, dla reszty nabywców.

V. Pod względem udziału w zyskach i praw, przysługujących akcjonarjuszom, akcje II. emisji, są zrównane z akcjami I. emisji z prawem do dywidendy od dnia 1. stycznia 1922 r.

VI. Posiadacze akcji I. emisji mają prawo wykonania prawa poboru w przeciągu 6-ściu tygodni od dnia ogłoszenia subskrypcji, wedle p. II. i IV. warunków subskrypcyjnych.

VII. Decyzję co do przydziału akcji dla nowych akcjonarjuszy zastrzega sobie wyłącznie Zarząd Spółki z tem, że nowi akcjonarjusze, o ile nie otrzymają przydziału akcji II. emisji do 3 ch miesięcy od dnia ogłoszenia subskrypcji, otrzymają zwrot wpłaconych kwot wraz z 5% odsetkami od dnia wpłaty.

VIII. Akcje II. emisji są już skonfekcjonowane i starzy akcjonarjusze mogą natychmiast po przedłożeniu posiadanych akcji do ostemplowania i zapłaceniu należytości, odebrać w Dyrekcji Spółki lub jej Oddziałach oryginalne sztuki akcji II. emisji.

IX. Zgłoszenia i wpłaty subskrypcyjne przyjmują:

Dyrekcja Spółki w Krakowie, ul. Sławkowska 11, I. i jej Oddziały; we Lwowie, pl. Trybunalski 1; w Częstochowie ul. Kordeck'ego 21; Polski Bank Przemysłowy we Lwowie i jego Oddziały; Polski Bank Krajowy we Lwowie i jego Oddziały; Bank Ziemian we Lwowie i jego Oddziały; Bank Narodowy w Warszawie i jego Oddziały; Bank Ziemiański w Warszawie i jego Oddziały.

W Warszawie, dnia 20 lutego 1922. *ZARZĄD.*

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego